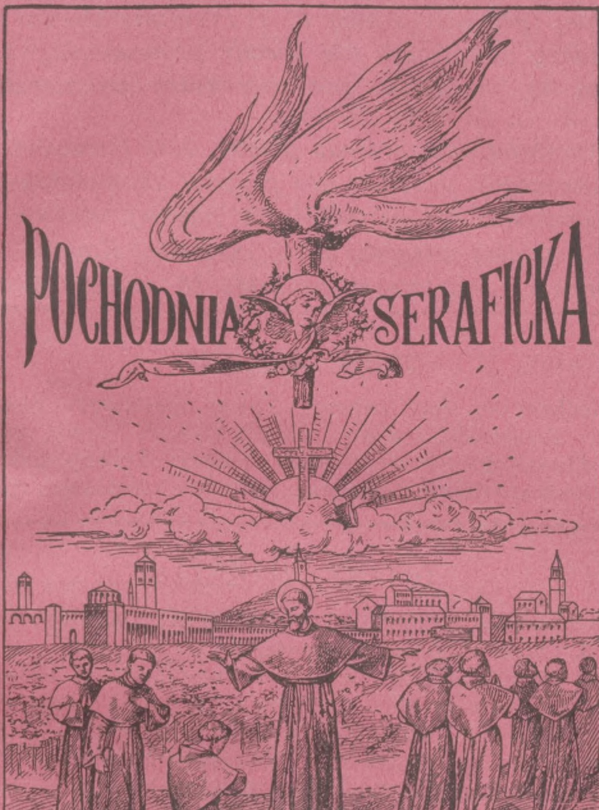
Rok V. **Listopad 1930.** **№ 11.**



Cena N-ru pojed. 20 gr. **Pren. roczna 2 zł.**

Od Administracji

Administracja Pochodni Seraf. uprasza jak najuprzejmiej tych wszystkich P. T. Prenumeratorów Pochodni, którzy dotychczas nie uiścili prenumeraty za rok bieżący, by raczyli to jak najprędzej uskutecznić na Nr. P. K. O. Kraków 407.634.

Administracja posiada pewną ilość Pochodni z miesięcy ubiegłych. Jeżeliby kto pragnął skompletować numery Pochodni dla uzupełnienia pięknej, obecnie skończonej powieści misyjnej p. t. „Krwawe Kwiaty“ raczy w znaczkach pocztowych przesłać 25 groszy za numer.

TREŚĆ ZESZYTU

OFIARY ZŁOŻYLI:

NA FUNDUSZ PRASOWY POCH. SERAF.: Kraków: N. N. 1·50 Sanok B. Ch. 10 zł. Wilno: Masewicz 5.

NA MISJE FRANC.: Kraków: Połotyńska 2; Głowacka 1; Sanok: Zgromadzenie Braci III Zakonu 25; Wilno: Sobolewska 3.

NA BEATYFIKACJĘ CZCIG. O. RAFAŁA CHYL. FRANC.: Wielkie Ejsymonty: Zaniewska 3; Nieszawa: Markowska 2; z podziękowaniem; Kraków: Kroeblowa 5, Różankowska 6, N. N. 18 z prośbą o potrzebne łaski. Wilno: Puzyna 4 z podziękowaniem.

Wszystkim P. T. Ofiarodawcom „Bóg zapłać“!

Rok V. Listopad 1930 r. Nr. 11.

POCHODNIA SERAFICKA

Organ Trzec. Zakonu i Stow. Franc. Krucjaty Misyjnej.

Kocham Cię, Boże!

Kocham Cię, Boże, za ten świat wspaniały
Wszechmocą Twoją z niczego powstały,
Za mgły poranne i wieczorne zorze
Kocham Cię, Boże!

Za to, żeś barwne kwiaty pomalował,
Srebrnemi gwiazdy niebo wyhaftował,
Co wdzięcznie świecą w każdej roku porze
Kocham Cię, Boże!

Za ten bór ciemny, co szumi pacierze,
W którym schronienie ma ptaszę i zwierzę,
Za falujące szczerem złotem zboże
Kocham Cię, Boże!

Za niebotyczne, chociaż groźne góry,
Które szczytami trącają o chmury,
Za to bezbrzeżne i bezdenne morze
Kocham Cię, Boże!

I za kochaną Ojczyznę mą całą,
W której przelano krwi i łez niemało,
Zanim wolności zajaśniały zorze
Wielbię Cię, Boże!

Kaczyńska Marja.

Patron miesięczny

„Błogosławiony Jan od Pokoju“

Tercjarz Zakonu św. Franciszka Serafickiego.

Miłą pamiątką 700-letniego Jubijeuszu śmierci św. Franciszka z Assyżu jest hasło: »Pokój i dobro«, które to słowa obrała sobie Franciszkańska Rodzina za nową dewizę w 1926 r.

Wczytując się w żywoty Świętych i Błogosławionych Zakonu św. Franciszka Serafickiego widzimy, że byli oni zawsze apostołami pokoju i że starali się w czyn wprowadzić zachętę św. Patrjarchy: „Bracia! póki mamy czas, czyńmy dobrze«. Jeden z najdawniejszych tercjarzy Błog. Jan z Pizy otrzymał nawet zaszczytny przydomek: »od Pokoju«.

Błogosławiony Jan, ze znakomitej pochodzący rodziny, urodził się 1353 roku we włoskiem mieście Pizie.

Od lat dziecinnych — według ówczesnego zwyczaju — zaprawiany do zawodu rycerskiego, gdy wyrósł na dzielnego młodzieńca, marzył tylko o zdobyciu sławy na polu walki.

Zanim jednak nadarzyła się sposobność otrzymania zwycięskich wawrzynów w otwartej wojnie z wrogami ojczyzny, został Bł. Jan wciągnięty w wir politycznych domowych niesnasek, których następstwem była walka obywateli miasta Pizy z mieszkańcami miasta Florencji.

Podczas tych orężnych rozruchów znaczna liczba towarzyszy Jana padła ofiarą haniebnej zdrady a sam Jan tylko cudem uszedł śmierci z rąk spiskowców.

Wypadki te tak silnie podziałały na szlachetnego młodzieńca, że natychmiast porzucił zawód rycerski i postanowił pracować odtąd nad własnem udoskonaleniem, wypowiadając ostrą walkę złym i zbyt naturalnym swoim skłonnościom.

Związany węzłem małżeńskim, nie mógł świata zupełnie porzucić, więc wstąpił do III. Zakonu świętego Franciszka z Asyżu i z wielkim zapałem oddał się życiu umartwionemu i pokutnemu.

Całą duszą zapragnął posiąść ów błogi spokój serca jakiego świat dać nie może a osiągnąwszy z łaską Bożą wysoki stopień doskonałości, zaczął szerzyć królestwo Boże i pokój Chrystusowy w sercach bliźnich.

Pokutne życie Bł. Jana znalazło wkrótce naśladowców, z którymi zawiązał stowarzyszenie tak zwanych »biczowników« tj. mężów praktykujących — nieraz publicznie — różne umartwienia dla przebłagania gniewu Bożego i pełniących przytem liczne uczynki miłosierdzia.

Surowy dla siebie, dla drugich miał Bł. Jan od »Pokoju« serce pełne wyrozumiałości, miłosierdzia i miłości, które go zniewalały do heroicznych poświęceń. Szczególne współczucie okazywał ubogim wstydzącym się żebrać i w regulaminie swego stowarzyszenia umieścił przepis, aby takim biednym zanosić jałmużnę nocną porą. Swego ducha dobroci i miłości tak głęboko wszczepił w swych uczniów, że do końca 18 wieku przetrwało to dzieło miłosierdzia.

Po życiu pełnem cnót i zasług, świątobliwą śmiercią odpoczął Bł. Jan w Panu 12 listopada 1433 r.

Sława świętości wywołana jego cnotami zgotowała mu cześć religijną zaraz po śmierci. Liczne tłumy wiernych wzywających wstawiennictwa Bł. Jana gromadziły się na cmentarzu w Pizie, gdzie mu wystawiono wspaniały grobowiec. W roku 1856 relikwje Bł. Jana zostały przeniesione do kościoła Braci Mniejszych Konwentualnych a papież Pius IX. zatwierdził uroczyście cześć, jaką mu wierni bez przerwy oddawali.

»Pokój i dobro«, te święte słowa są teraz często na ustach Tercjarzy i Tercjarek. Wyrazy: »pokój i dobro« wypisuje się na listach, drukuje po książkach, haftuje na sztandarach — ale to nie dosyć. Trzeba koniecznie czynami dowieść, że się pokój i dobro nad skarby świata przedkłada.

W obecnych czasach, gdy zawiść i niezgoda rujnują szczęście wielu rodzin chrześcijańskich, każdy członek III. Zakonu powinien być apostołem pokoju i dobroci wśród

bliźnich — a w kółku rodzinnem uosobieniem tych wzniosłych cnót. Wszystkie czyny Tercjarzy i Tercjarek ożywione duchem pokoju i dobroci radować będą w niebie świętego Patrjarchę, który dla wiernych swych dzieci wyjedna spełnienie obietnicy Chrystusowej.

»Błogosławieni cisi, albowiem oni posiędą ziemię.

Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni nazwani będą synami Bożymi«. *Hajot.*

Nauka miesięczna

Trzeci Zakon a Apostolstwo misyjne

Kochani Bracia i Siostry!

Od niedawna jesteśmy świadkami ruchu nadzwyczajnego, obejmującego wszystkich. Ruch ten budzi entuzjazm w sercach katolików a samych nawet nieprzyjaciół Kościoła wprawia w podziw. Ruchem tym to ogólny zapał do prac na korzyść misyj. Słusznie czas, w którym żyjemy nazwano czasem misyj a Papieża Piusa XI. Papieżem-Misjonarzem.

Po wystawie misyjnej, która miała miejsce w Watykanie w Roku Jubileuszowym (1925) — po licznych przemowach Papieża na temat misyj — wszędzie daje się zauważyć rozkwit dzieł, podziwienia godnych, których celem zdobycie dla Chrystusa świata pogańskiego.

I dzieci św. Franciszka nie pozostają w tyle w tej dobie ogólnego przebudzenia misjonarskiego, owszem one dziś podobnie jak zawsze idą na przodzie, bo duch franciszkański to duch rozwoju, a Zakon franciszkański, to Zakon najbardziej misyjny.

I w rzeczy samej św. Franciszek, który sam się nazywał Heroldem Wielkiego Króla nie miał innego zamiaru jak ten, by królestwo Jezusa Chrystusa rozszerzyć wśród ludzi. Dlatego udał się aż do Maroko, położonego w Afryce zachodniej, z tym zamiarem, by

wiarę Chrystusa Pana rozszerzyć między Muzułmanami, a choć z powodu słabości czuł się zmuszonym powrócić do Włoch, to jednak zamiaru pozyskania tychże dla wiary, nie porzucił. Trochę później wysłał tam 5. Braci, którzy otrzymali palmę męczeńską, stając się tym sposobem pierwszymi męczennikami Zakonu Franciszkańskiego. Było to jakby uroczyste przyjęcie chrztu krwi, która stała się nasieniem płodnem dla 1500 następnych męczenników, zdobiących, niby najpiękniejsze perły koronę Zakonu św. Franciszka. To samo pragnienie nawrócenia niewiernych i Muzułmanów sprawiło, że Franciszek podczas jednej Kapituły generalnej wybrał wielu z pośród Braci i wysłał ich na zdobycie świata dla Chrystusa, podczas gdy sam podążył do Egiptu, i tam pragnąc męczeństwa, wobec sułtana opowiadał Chrystusa. I jeszcze później dla tej samem racji, apostołowania Chrystusa niewiernym, wybrał się z innymi Braćmi do Ziemi Świętej i tam rozwinął jak najgorliwszą działalność misyjną, zostawił też tam kilku swoich Braci, aby strzegli grobu Chrystusowego.

A ten duch misjonarski serafickiego Ojca przelał się, jakby najkosztowniejsza spuścizna do serc Jego synów, którzy przez całe wieki wysoko sobie cenili tę tradycję misyjną; i Zakon Franciszkański dawał zawsze Kościołowi największą liczbę misyj i misjonarzy apostołujących po całym świecie.

Gdy obecnie panujący Papież Misjonarz wyrzekł: że każdy syn św. Franciszka powinien być misjonarzem, to Synowie Pierwszego Zakonu zrozumieli zaraz ten apel Papieża i udali się tam, gdzie walka o duszę ludzką tego wymagała i zatykają krzyż Chrystusów tam, gdzie dotąd, bez żadnego sprzeciwu, szatan królestwo swe posiadał; inni zaś młodzi, przy grobie św. Ojca, u stóp Katedry św. Piotra i w wielu innych miastach we Włoszech i poza niemi jak w Polsce, w Niepokala-

nowie i we Lwowie, oddając się modlitwie i naukom, pracują nad uformowaniem swych dusz misjonarskich, gotowi i oni, choćby kosztem krwi własnej rozsiewać Imię i Królestwo Chrystusa.

Lecz i Trzeci Zakon nie może się trzymać zdala od tej świętej walki. I Członkowie Trzec. zakonu są dziećmi św. Franciszka i oni zatem mają także obowiązek, nie zapominać o swych współbraciach pracujących na froncie, lecz spieszyć im z należytą pomocą.

Trzeci .Zakon to milicja utworzona przez św. Franciszka, której celem odnosić w kościele najpiękniejsze zwycięstwa. W ciągu 7 wieków tercjarze zawsze się interesowali misjami franciszkańskiemi, w ten sposób królowie Węgier, Rycerze Zakonu Teutońskiego, Krzysztof Kolumb, Guaska, Tomasz Morus i wielu innych wielce się przyczynili do rozszerzenia chrzecijaństwa.

Zatem teraz, gdy papież wszystkich katolików zachęca do wspólnej pracy dla misyj, Tercjarze jak zawsze, powinni pierwsi odpowiedzieć na wezwanie Papieża. Każdy tercjarz, każda tercjarka powinni się stać misjonarzami, a we wszystkich Kongregacjach tercjarskich powinien rozkwitnąć duch misyjny. Życie Kongregacyj nie może ograniczyć się wyłącznie do pobożności, lecz powinno pulsować nadto tętnem czynu i ofiary dla dobra Kościoła, dla pozyskania dusz.

Wówczas tylko tercjarstwo będzie się mogło chlubić z przynależności do wielkiej armji franciszkańskiej i z nazwy Dzieci św. Serafickiego Ojca.

Franciszek, a nędza naszych czasów

Wielki pedagog i uczony Fr. W. Foerster napisał artykuł, który ma bardzo doniosłe znaczenie dla obecnej chwili, dlatego pragnę go na tem miejscu przytoczyć w całości;

»Franciszek z Assyżu uważany jest dzisiaj przez rządzącą politykę realizmu za mały, pachnący kwiat umbryjski, który z wielkiemi programami i zadaniami historji świata poprostu niema nic wspólnego. Jakże się jednak mogło zdarzyć, że wielki Inocenty, pierwszorzędny znawca świata i ludzi, śnił w przerażeniu, że Lateran zawali się, jeżeli nie podtrzyma go swemi ramionami Biedaczyna z Assyżu?

Zawali się również z trzaskiem i bez ratunku wielka budowa unifikacji ludzkości, nad którą my wszyscy dziś pracujemy, pogrzebie pod swymi gruzami Ligę Narodów, Paneuropę i inne nowe instytucje, jeżeli duch św. Franciszka nie stanie się znów żywotny w nowej postaci i formie wśród pokłóconych narodów i klas.

Śmieją się z tego pozbawieni zasad literaci, którzy nie znają ani niższego, ani wyższego świata, nie obserwują w skupieniu ani siebie, ani bliźniego i z obserwacji nie chcą wyciągnąć nieubłagalnego wniosku. Śmieją się z tego wszystkie urzędy spraw zagranicznych, a żyją one w urojeniu, że ich zabawa w domino określa historję świata i że wzniosły człowiek, który żyje i mówi w obliczu gwiazd, nie może być brany poważnie.

W rzeczywistości wszystko, co z wartości tamtego wyższego świata nie będzie zdobyte trudem wszystko jest budowaniem wieży Babel: pokój jest tylko podstępnem zawieszeniem broni, porozumienie między klasami tylko wspólnotą rachunkową, jeżeli nie przedmiotem sporu, a dobro materjalne pozbawione wartości zewnętrznej i wewnętrznej i całkiem inne dobro pociągają ku sobie siły duszy: od takiego uszeregowania dóbr w duszy człowieka zależy wszelkie inne uszeregowanie w świecie.

Franciszek z Assyżu chciał uwielbić coś więcej, niż proste ubóstwo materjalne: jego ideał, jego »poverta« jest nadewszystko odwagą zrozumienia i postawienia w pukcie ciężkości tego, co w życiu najistotniejsze, odwagą usunięcia na drugie miejsce tego, co podrzędne, odwagą pokazania sobie z męstwem tego, co zbyteczne.

Nie każdy może zostać mnichem — ale każdy może podjąć to wielkie napomnienie i urzeczywistnić je w każdej sytuacji życiowej w sposób, który sam Franciszek przez założenie »trzeciego zakonu» wpoił głęboko we wszystkie zawody i stosunki życiowe: kto nosił potajemnie pasek Franciszka pod ubraniem: podlegał wiążącej jego mocy, ten wiedział, że w pracy zarobkowej, w rozkazywaniu, w życiu rodzinnem, w przyjemnościach przy całej swobodzie, w szczegółach, znajduje okazję do nadużyć, pamiętał jednak o wyższem wezwaniu i zachowywał miarę i poczucie odpowiedzialności, które w tajemniczy sposób wiązały go z dziełem życiowem Franciszka.

Gdzie tego rodzaju związki nie pociągają do siebie ludzi, tam tworzą się wszędzie zakony szalonej namiętności, które wiążą inny pasek, i bezustanku rzucają swe ofiary w ramiona wszelkiego obłąkania.

Albo zjawi się znów wśród nas siła duchowa, która działała we Franciszku, albo zagrają nam do tańca wszyscy djabli z piekła — trzeciej możliwości niema.» *F. P.*

Żywot św. Antoniego Padewskiego

WSTĘP

Dnia 13 czerwca 1931 roku przypada 700-letnia rocznica śmierci, prawdziwego syna Serafickiego Ojca, św. Antoniego Padewskiego, przed którym cały świat w hołdzie zgina kolana. Na ten czas przygotowują wszędzie uroczyste obchody; my, pragnąc ożywić w naszych sercach miłość Świętego, i uprosić sobie Jego opiekę w duchowym postępie, umieszczać będziemy przez szereg miesięcy na łamach nanaszego pisma opisy życia Świętego.

Wpatrujmy się w postać Świętego, przejmujmy się duchem Jego cnót, abyśmy na czas wielkich uroczystości złożyli u stóp Jego ołtarzy, nigdy niewiędniejącą wiązankę

zasług na drodze postępu moralnego i w ten sposób okazali miłość naszych serc.

ROZDZIAŁ I.

W domu rodzicielskim

Od dzieciństwa począł bać się Boga i czystą zachował duszę swoją od wszelkiej pożądliwości (Tob. 3.)

Święty Antoni Padewski urodził się w Lizbonie, stołecznem mieście Portugalji, w dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny Marji t. j. 15 sierpnia 1195 roku. Pochodził ze znakomitego rodu; ojciec jego Marcin de Bouillon, to potomek starożytnej, potężnej rodziny szlacheckiej, matka Marja Teresa Tavera pochodziła z rodu Froila, króla Asturji.

Nie świetny ród, lecz pełnia cnót, ukryta w jego sercu i ogień miłości Bożej uczyniły Go »Pochodnią świecącą« i »Ozdobą Kościoła Katolickiego«.

Na chrzcie św. otrzymało dziecię imię Fernando, ku czci swego stryja don Fernanda Martinsa, kapłana niezwykłych zalet umysłu i serca; zaś Antoni, to imię zakonne, otrzymane przy wstąpieniu do zakonu św. Franciszka. Wychowany w pobożnej atmosferze domu rodzicielskiego, pod opieką świątobliwej matki, zaprawiał się do ukochania dobra i piękna, by wkońcu zapłonąć serafickim ogniem miłości Bożej. Według podania matka przypominała często swemu synkowi dzień chrztu świętego, jako błogosławioną chwilę narodzin dla Boga, wskazując przytem na wznoszący się przed ich domem kościół katedralny pod wezwaniem Wniebowzięcia Matki Bożej, w którym stał się dzieckiem Kościoła Katolickiego. Takie rozmowy z matką błogą radością napełniały serduszko dziecięcia, wzniecały miłość ku Tej, Którą Aniołowie czczą jako swą królowę, i wzbudzały w sercu dziecka pragnienie »Dobra i Pokoju«. W świetlanej atmosferze domowej przejmował się zasadami życia ewangelicznego, stając się coraz bardziej uległem narzędziem Du-

cha świętego. Wrodzona czułość serca, ogromna wrażliwość na cudzą biedę i niedostatek, znajdowały swój wyraz w jałmużnach świątobliwego dziecka, które od najmłodszych lat umiało się opanować, niejednego sobie odmówić, by tylko otrzeć łzę i wywołać uśmiech zadowolenia lub szczęścia na twarz bliźniego. Gdy sam Fernando nie był w możności zapobiec cudzemu cierpieniu, serdeczną prośbą zniewalał do tego rodziców i domowników. Do niego zastosować można to, co powiedział o sobie Job: »od dzieciństwa mego rosło ze mną użalenie« (Job. 31. 18).



ŚW. ANTONI PADEWSKI.

Gdzie należy szukać źródła, z którego czerpało to anielskie dziecię taką głębię miłości bliźniego? W modlitwie! Mądrzy rodzice prowadzą chłopczynę już od piątego roku życia codziennie na Mszę św. i zaprawiają go do praktyk religijnych, które ściągają dary niebios na ich syna.

Jak modliło się to dziecię? Tak, że pobudzało innych do modlitwy, nakazując im pamiętać, że modlitwa to pokorna rozmowa z Bogiem. Żarliwa modlitwa rozświecała umysł dziecka, dając mu w dziecinnym wieku zrozumienie rzeczy Bożych, czego dowodem ofiarowanie się już w tych latach zupełne Bogu, pragnienie życia jedynie dla Boga. Tak, bo wychowanie od najmłodszych lat nadaje kierunek, życiu, żłobi pewien charakter na duszy człowieka.

Kończy się okres wyłącznie tylko wpływów domu rodzicielskiego, a rozpoczyna epoka pracy szkolnej. Wedle przyjętego zwyczaju zamożnych rodzin portugalskich, posy-

łają go rodzice do szkoły katedralnej, by pierwsze chwile życia swego przeznaczył na służbę Bogu.

Kto uczy w tej szkole? Profesorem jest don Fernando Martins, stryj Świętego, ów człowiek świątobliwy, dla pamięci którego otrzymało dziecię imię Fernando. Jakże wiele może zdziałać prawy, sumienny, wierzący nauczyciel! On zajął się gorliwie swym bratankiem, kształcąc jego umysł i serce w najwyższym stopniu. Nadzwyczajna bystrość umysłu, inteligencja ducha, pozwoliły małemu Fernandowi, tak ze względu na postęp w naukach jak również i cnotach, wyprzedzić kolegów nawet starszych wiekiem tak, że stał się ozdobą szkoły biskupiej i otrzymał nazwę »Anioła Katedralnego«. Wśród grona kleryków wyróżniał się niezwykłą miłością Matki Najświętszej i umiłowaniem rozważań Jej życia, cnót i litości względem grzeszników.

Jeszcze jeden rys znamienny można zauważyć w latach dziecinnych Świętego; nabożeństwo do św. Wincentego Męczennika, którego ciało spoczywało w katedrze lizbońskiej i od wiernego ludu portugalskiego odbierało dowody czci i hołdu. Nasze pacholę dopytywało się o wszystkie szczegóły życia i męczeństwa Świętego i pragnęło stać się Jego naśladowcą. Zostać męczennikiem za wiarę stało się odtąd jedynem pragnieniem, jedyną prośbą, jaką zasyłał przed tron »Królowej Męczenników«.

Widząc taki zapał apostolski w sercu pacholęcia przypuszcza szatan silny atak na jego duszę, by przeszkodzić w kształtowaniu się jej na »naczynie wybrane« Boga, mające się stać »biczem na czarty« i »młotem na heretyków«. Jak zachował się nasz Swięty w tych strasznych chwilach pokus? Znał ułomność ludzką, nie liczył na siebie, szukał ratunku w przemożnej opiece »Ucieczki grzeszników«, podwajając czujność, modlitwy, ćwiczenia. Nie mogąc pokonać niewinnego pacholęcia, przybrał szatan na się postać rozjuszonego psa i rzucał się nań, by go zatrwożyć, a nawet rozszarpać. Na nic piekielne zakusy! Silna wiara w pomoc

Bożą spowodowały zwycięstwo Świętego. Żegna się, wzywając samą Trójcę Przenajświętszą na pomoc, a następnie mieczem krzyża broni się przed napastnikiem, czyniąc znak zbawienia na stopniu marmurowym, odgraniczając się niby wałem obronnym od wysłannika piekieł. Złamany, pokonany mocą niewinnego dziecka, odstąpił szatan od niego, a Bóg Wszechmocny nagrodził serdeczną ufność i święty wysiłek Fernanda, uwieczniając na marmurze znak krzyża świętego, uczyniony przez pachołę, któryby nam przypominał, jak należy zachować się w pokusach. Dowód tych zapasów Świętego z szatanem istnieje do dziś. Kamień ów wystawiony jest publicznie, a wierni składając pocałunki na krzyżu nań wyrytym, oddają się szczególnej opiece Świętego, żebrząc pomocy, ratunku.

* * *

Należy się zastanowić, jakie czynniki zewnętrzne złożyły się na wzrost pacholęcia w świętości? — Dom rodzicielski i szkoła. — Atmosfera życia rodzinnego wyciska przeważnie głęboki ślad na duszy dziecka. Przykład rodziców i domowników przemawia w okresie dzieciństwa potężniej niż cudze słowa i czyny. Jak kształtują chrześcijańscy rodzice powierzony sobie skarb? Zdają sobie sprawę z ostatecznego celu człowieka i całe oddziaływanie wychowawcze jemu podporządkują. Wierzą, że Bóg zażąda od nich rachunku za wychowanie dziecka, więc dbają nietylko o fizyczny rozwój, nie rozpływają się w pogańskim kulcie ciała, lecz przedewszystkiem kształtują ducha.

Matka, jako pierwsza kapłanka, w swem oddziaływaniu religijnem poucza dziecię o Bogu, o Jego wielkości i sprawia, że jak kwiat do słońca, tak dziecię jej rozwija się dla Boga i Jego spraw.

A jaka rola ojca? Nie patrzy on tylko z pobłażaniem na postępowanie matki, lecz sam z przekonaniem świeci dziecku przykładem, a pobożność syna uważa za największy z darów, jakiemi Bóg obdarzył duszę pacholęcia. Rodzice

nie stronią od kościoła. Rozbudzają u dziecka od zarania życia kult dla świętych obrzędów i ceremonij kościelnych; mają zbawienny zwyczaj uczęszczania codziennie na Mszę św., by stać się uczestnikami owoców ofiary krzyżowej. Wierzą głęboko, że Msza św. to »słońce naszych praktyk religijnych, źrenica i serce religji katolickiej, dusza nabożności i tajemnica niewysłowiona, która bezdeń miłości bożej ogarnia w sobie;« starają przejąć się duchem obrzędów Kościoła, wyrozumieć ich znaczenie. Chcąc przygotować dziecię do życia z Boga i dla Boga uczą je sztuki największej i najtrudniejszej zarazem, wymagającej hartu woli, mocy nad sobą, czuwania nad swemi skłonnościami; sztuki przezwyciężania samego siebie. Od najmłodszych lat umie to dziecię odmówić sobie niejednej przyjemności, by okazać tym aktem swą miłość Bogu; a zawdzięcza to w większej mierze mądrym rodzicom, nieulegającym kaprysom i zachciankom dziecka od pierwszej chwili jego życia.

Drugą placówką wpływów na dziecko, to szkoła. Jak spełniała lizbońska szkoła katedralna swe zadanie? Ona nie naruszała, nie burzyła prac religijnych domu, przeciwnie swe oddziaływanie pedagogiczne zharmonizowała z pracą rodziców. Poprzez wszystkie przedmioty nauczania przewijała się niby złota nić miłości do Stwórcy i przywiązania do Kościoła.

Szkoła — to bolączka dni dzisiejszych. Szkoła polska musi czcić i kochać Chrystusa, musi zbliżać do Boga, a nigdy od Boga oddalać. Katolickie społeczeństwo polskie musi stać na straży najdroższego skarbu naszych dzieci — wiary świętej, musi bronić je przed trucizną, przed zgniłym pokarmem fałszu i kłamstwa. Brońmy się przed szkołą bezwyznaniową, pozbawioną pierwiastka religijnego, który jest fundamentem postępu moralnego. Czuwajmy, by młodzież nabyła w szkole znajomości podstawowych zasad katechizmu, jak również nauczyła się żyć z wiary i teoretyczną wiedzę religijną wprowadzała w czyn, bowiem »wiara bez uczyn-

ków, martwa jest«. Zapewnijmy młodzieży możność czerpania siły w praktykach religijnych, sakramentach świętych, by każda jednostka przez nie stała się silnym »robotnikiem Pana«. Nie pozwólmy w żadnej szkole na całej ziemicy Polskiej uczynić z prac religijnych »kopciuszka« zapoznanego, jedynie cierpianego, tolerowanego, lecz zapewnijmy religji należne jej stanowisko, nie dajmy »Świętości szargać, bo trza, żeby święte były«. Starajmy się ze wszystkich sił, by szkoła w swych pracach szła po linji wymagań Kościoła, co tak głęboko ujmuje odezwa Episkopatu Polski w sprawie antyreligijnych wystąpień na Zjeździe Nauczycieli Szkół Powszechnych, i »rozbudzała w młodych tych duszach, nauczycielowi przez rodziców powierzonych, miłość do Stwórcy i do życia nadprzyrodzonego, nastroiła piękne struny pobożności dziecka, aby przez całe dalsze życie grały hymn wdzięczności dla Boga za Jego niezliczone dary, na duszę nieśmiertelną zlewane«. (Dzwon Niedzielny) *„Frater"*.

Podziękowania i prośby

Redakcja stosuje się we wszystkiem do dekretów Pp. Urbana VIII.

Czcig. O. Rafałowi Chylińskiemu fran. dziękują:

Golańcz.

Wywiązując się z danej obietnicy składam serdeczne podziękowanie Najśw. Marji Pannie i Czcig. O. Rafałowi za otrzymaną łaskę. Siebie i całą rodzinę polecam nadal opiece O. Rafała. Na beatyfikację ofiaruję 7 zł. — Równocześnie proszę o modlitwę w pewnej intencji za mego brata.

Marja B. S. III. Zak.

Czcig. O. Rafała Chyl. proszą:

Marciniakowie z Gdyni o wstawiennictwo do Boga i wyproszenie łaski w wielkim smutku i strapieniu. Na beatyfikację ofiarują 2 zł.

Proszą również św. Antoniego, by im wyprosił łaskę powetowania straty jaką ponieśli. Na Mszę św. i na beatyfikację O. Rafała składają 5 zł..

D. K. z Warszawy o wyproszenie u Najśw. Serca P. Jezusa pomocy w bardzo ważnej sprawie. Ofiara na beatyfikację 10 zł.

G. D. G. Benvenuti.

Trylogja franciszkańska

III.

„Stabat Mater."

(Stała Matka) brata Jacopone z Todi.

»Stabat Mater« — pieśń pełna smutnych rozważań i nastrojów, która stała się tak sławną, powszechnie znaną i lubianą, godna jest poznania i uwielbienia.

Któż jest jej autorem? To ubogi braciszek mniejszy — Jacopone z Todi, mistyczny błazen boży, który przeciwnie do błaznów pospólstwa i śpiewaków ulicznych tego czasu śpiewał nie dla sławy i zysków, lecz pokorny, bezinteresownie poszedł w lud i wywnętrzał się z potężną energją żalów Jeremiaszowych i wyrzucał grzechy i błędy tak możnych jak i maluczkich.

Nazywano go przez szyderstwo brat Jacopone i rozgłaszano o nim dziwne historje, które streszczają się w dwóch słowach: z ławy sądowniczej do klasztoru. Pierwsze z tych dwóch charakterystycznych słów, jakby napis nagrobkowy, wyraża całe życie męża nauki, zapalonego prawnika i mowcy, który marzy o wielkiej sławie. Drugie dźwięczy jakby elegja i oznacza milczenie, umartwienie i ciszę klasztorną człowieka, którego zawiodły nadzieje i marzenia światowe.

Todi — małe miasteczko, — które swojemi wieżycami i kopułami kościołów wieńczy cieniste wzgórze, pokryte winnicami i oliwkami, było kolebką Jakóba Benedetti.

Ojczyzna i okolica, uśmiechająca się dokoła jest pełna tysięcy wspomnień historycznych pięknych i wspaniałych. W górze rozściela się majestatyczny błękit nieba, który dawał zawsze natchnienie literatom i artystom. W tak pięknej okolicy wychował się młodzieniaszek o duszy poetyckiej. W tej duszy przepojonej poezją i miłością znalazły echo jasne i potężne czasy współczesne — Średniowiecze charakterystyczne, jak życie młodociane.

W początkach ten młodziutki duch poetyczny w swoich pieśniach nie uleciał jeszcze poza sferę swej rodzinnej krainy, lecz spokojny przypatrywał się i napawał pięknością całej natury, otaczającej go. Ból nie miał do niego jeszcze przystępu, nie odważył się jeszcze próbować piętnastoletniego chłopczynę. Podobnie jak winne latorośle nie zakwitną z wiosną prędzej, nim deszcz nie spadnie, tak i nasz poeta nie znajdzie pierwej natchnienia boskiego do tej pieśni, która miała się stać nieśmiertelną, zanim ból nie nada jej blasku i piękna.

Bolonja — uczona wówczas Bolonja — sławą swoich studjów prawniczych zwabiła do siebie zapowiadającego się poetę. Dzień, w którym zapisał się Jakób na uniwersytet i oddał suchym zagadnieniom prawniczym, groził mu, że nie będzie już nigdy śpiewał wierszy jako poeta. Rozrzutność, światowość i taka wysoka wiedza, która mogłaby uwieńczyć skroń prawnika wawrzynem, były ideałem pochłoniętego studjami Tudertyna. Marzeniem i pierwszem pragnieniem młodzieńca Jakóba Benedetti było taką samą sławę zdobyć na katedrze trybunalskiej w swej ojczyźnie.

* * *

Na widnokręgu życiowym Jakóba zaprawdę opatrznościowo zabłysła jedna z wizji madon najpiękniejszych i najidealnielszych, które potem Perugino utrwalił zadziwiająco na swoich płótnach malarskich. Sercem Jakóba zawładnęła szlachetna dziewczyna z rodu hrabiów. On sławny prawnik zrzeka się teraz zyskownych interesów na ławie sądo-

wniczej, spostrzega się, że pod czerwoną togą doktora bije mu serce żywe, wrażliwe; ocknął się wśród suchego realizmu kodeksów prawniczych i odczuł, że jest z urodzenia naturą poetyczną, pełną najczystszego entuzjazmu.

Od tej chwili panna Anna z rodu hrabiowskiego Koldimecców, piękność czarująca, dobroć duchowa stała się dla prawnika z Todi ideałem, szczęściem, radością, wizją słoneczną ostatnią racją istnienia. Ona stała się dla niego dobrotliwym aniołem, istotą niebiańską, która przez swe posłannictwo zwróciła tego człowieka od marnej ziemi do wznioślejszych celów i pożądań.

Lecz takie okresy upajającej słodyczy nie trwają zazwyczaj długo na tym padole łez; zresztą możeby za bardzo człowiek się przywiązał do ziemi gdyby zapomniał, że tutaj jest wygnanie, a cel i ojczyzna nasza właściwie gdzieindziej!

Pewnego wieczora jesiennego w 1268 r., który zniszczył czyste bożyszcze pana Jakuba, a stworzył w nim potężnego poetę »Stabat Mater», — pani Anna dla okazania miłości Jakóbowi, musiała udać się na jeden z tych turniejów, na których średniowiecze zatracało całkiem blask obyczajów już, już rozkładających się.

Wszystko było w uroczystym nastroju. Dźwięk lutni zapełniał rozbawioną atmosferę. Między walecznymi rycerzami błyskały tylko szpady, a okrzyk triumfu ulatywał tam, gdzie Anna w leciuchnych koronkach, w białośnieżnym welonie siedziała wśród książęcych przyjaciółek, które patrzały na nią z podziwem i zazdrością jak na królowę. Ale oto w jednej chwili rozległ się przeraźliwy trzask stołów — wszystko poczęło się walić... w pobliżu drży coś jakby jęk męczonych, słychać rozpaczliwy krzyk kobiecy... Następnie łoskot nagły z straszliwym runięciem. I oto przedstawia się straszliwy widok — tysiące biednych istot, które znalazły okropne konanie i śmierć tam, gdzie niedawno spodziewały się radości i upojenia.

Jeden głos drżący rozpacza i płaczem odbrzmiewa wśród tej okropnej sceny ginących: moja żona! moja żona!... Ach! kochana była na spodzie, pod ciężarem mnóstwa ciał kobiecych, już bezdusznych, wśród potrzaskanych stołów i połamanych stołków, tam na dole, gdzie w daremnym wysiłku powstania wszystko konało.

Jakób jak gdyby szalejący z bólu, złamany życiem jak dąb trafiony piorunem, rzuca się w tę masę ciał niedawno jeszcze pełnych życia, a teraz ginących, i szuka tam ukochanej towarzyszki. Szuka, krzyczy, prosi, rozkazuje... Ach! Boże!... rozpoznaje swoją ukochaną, ale już martwą!

A więc ona już umarła!... Głos więźnie mu w gardle, usta drżą konwulsyjnie, łzy żarzące spływają po policzkach. Podniół z ziemi zimne ciało, wziął w swe ramiona, przyciska do piersi i jak widmo przemieniony... unosi ją daleko z miejsca katastrofy. Sam w kącie pokoju weselnego nachyla się nad sercem najdroższej Anny i przysłuchuje się... To serce ukochanej już nie biło!

Był to moment męczeństwa wewnętrznego, bolesnego. To jedna z tych drastycznych chwil, które mają coś boskiego i coś ludzkiego, coś tragicznego i coś dramatycznego, tak żywo uwypuklonych we »Fauście« Goethego.

* * *

Jakób miał w swem bólu towarzyszkę świętą, a nie wiedział o tem!

Ten fakt i tę tragiczną śmierć, która mu mówiła silną przykładu wymową o cnocie krzyża (cierpień), miał prawnik z Todi za głos z nieba. Promyk pociechy wstępuje w jego duszę zmęczoną próżnością zabaw i złudną wesołością; tajemniczy głos szeptał mu: uciekaj i płacz!!

Jakób zrozumiał boską piękność ofiary; czuł promienne tchnienie tej, która w orszaku aniołów śpiewała mu słowami krwi zbawcze słowa. Ucałował swą zmarłą, ucałował krzyż, tyle razy całowany przez te usta teraz zimne. Uciekł ze swego pałacu, ze swoich rodzinnych stron, przyciskając do boleją-

cego serca ostrą włosiennicę. Dziesięć lat błądził szczęśliwiec dotknięty bólem. Błąkał się wśród samotnych gaików oliwnych, wśród wiosek i miasteczek swojej Umbrji, zmieniony, nierozumiany, sam ze swoim bólem, pragnący wciąż cierpień i pogardy, aby naśladować świętą towarzyszkę.

Zatrzymywali go swawolnicy, ulicznicy, gwizdając, szydząc i naśmiewając się zeń, wołali na niego: Jakopone! warjat, bzik Jacopone! (*C. d. n.*)

KRONIKA

Komunikat Sekretarjatu Rady Głównej III Zakonu.

Znów rok radosny dla Franciszkańskiej Rodziny: 700-letnia rocznica narodzin dla Nieba jednego z najpiękniejszych Kwiatów Franciszkańskiego Ogrodu — św. Antoniego Cudotwórcy

Rocznicę tę wspólnie uczcić postanowili OO. Prowincjałowie wszystkich trzech gałęzi franciszkańskich na posiedzeniu, odbytem 5 września w Krakowie i postanowili złączyć ten obchód z dorocznym Zjazdem Delegatów, który odbędzie się w Krakowie w pierwszych dniach lipca 1931 r., przychylając się do pragnienia Delegatów gmin tercjarskich, wyrażonego na ostatnim zjeździe w Poznaniu

OO. Prowincjałowie polecili Generalnemu Sekretarjatowi III. Zakonu zająć się urządzeniem głównej polskiej uroczystości, do czego dali swe wskazówki. Mianowicie, podczas dorocznego zjazdu Delegatów będzie:

1) Triduum we wszystkich krakowskich kościołach franciszkańskich.

2) Uroczysta Akademja.

3) Sceniczne przedstawienie.

4) Na zakończenie uroczystości procesja.

Prócz tego planowana jest wspólna pielgrzymka do Padwy.

Chyba wobec tego zjazd tercjarzy będzie bardzo liczny i nie braknie na nim żadnego z czcicieli św. Antoniego, nikogo z tych, którzy doznali przemożnego Jego orędownictwa u Boga. A któż z ufnie proszących w Imię św. Antoniego łaski nie doznał? Między udarowanymi są potężni i biedaczkowie, uczeni i maluczcy. Niech wszyscy pospieszą tłumnie oddać publiczną cześć Wielkiemu Orędownikowi Ubogich!

Konsekracja Ks. Biskupa Jasińskiego.

W niedzielę dnia 5 października b. r. dokonał J. Em. Ks. Kardynał Kakowski, w Katedrze św. Stanisława w Łodzi, konsekracji Ks. Jasińskiego na biskupa Sandomierskiego. W uroczystości oprócz duchowieństwa łódzkiego wzięła udział delegacja diecezji sandomierskiej i diecezji włocławskiej.

Kraków.

Poświęcenie gmachu Seminarjum częstochowskiego w Krakowie. W poniedziałek dnia 6 października po Mszy św., którą odprawił J. E. Ksiądz Biskup Kubina, dokonał Książę-Metropolita Sapieha ceremonji poświęcenia gmachu Sem. Częst. Budynek ten wznosi się u stóp Wawelu tuż przy kościele OO. Bernardynów. Tak zatem Kraków mieści w swoich murach trzy Seminarja: Metropolji krakowskiej, Diecezji Śląskiej i Częstochowskiej. Uroczystość poświęcenia zgromadzila wielką liczbę duchowieństwa tak świeckiego jak i zakonnego.

Lwów.

W dniach 23—25 września b. r. odbył się po 165-letniej przerwie Synod. archid. lwowskiej. Obradom przewodniczył Najprzew. Ksiądz Metropolita Bolesław Twardowski. Ufać należy, że Synod. przyniesie dla archidiecezji wielkie korzyści.

KRONIKA MISYJNA

Z naszych misyj w Chinach.

Ciąg dalszy listu O. Bernardyna Permuti, OMC. misjonarza w Chinach.

W tym dniu panował upał niedowytrzymania. Powiterze przesiąknięte skwarem słońca drgało gwałtownie. Wokoło, dokąd sięgnąć wzrokiem, ani śladu cienistego drzewa lub ludzkiej osady Czuliśmy głód, żołądek upominał się o swe prawa. W uszach nam dudniło, w głowie zaczęło się mącić — więc trzeba było choć na chwilę zatrzymać się i orzeźwić się wodą z rzeki.

Mój muł także omdlewał wskutek spiekoty. Biedne bydlątko nie mogło pospieszać po rozpalonych kamieniach, tembardziej, że teraz spuszczaliśmy się ku dolinie. Kroczyłem tedy pieszo obok mych towarzyszów. Rozglądaliśmy się na wszystkie strony, czy niema jakiej osady ludzkiej, gdzieby można znaleść posiłek i odpoczynek.

Niebawem za zrządzeniem Opatrzności Bożej ujrzeliśmy na pagórku jakąś lepiankę. Na ten widok wyrwał się nam równocześnie

radosny okrzyk: „Iou-Janz! Iou-Janz!“ (chata! chata!). Była już trzecia godzina po południu, a my i wskutek strachu i wskutek nieznośnej spiekoty i wyczerpania zarówno umysłowego jak i fizycznego byliśmy bliższymi śmierci, niż życia. Widok ubogiej wiejskiej lepianki dodał nam otuchy i nowych sił. Z niemałym trudem wspinaliśmy się na górę, a gdyśmy już prawie dochodzili do kresu, siły mię opuściły, zatoczyłem się pod cieniste drzewo i jak kłoda, runąłem na ziemię. Leżałem tak zdrętwiały, a w uszach mi na alarm dzwoniło. Westchnąłem ciężko i boleśnie: „Matko Najśw., ratuj mię!“ Służący skoczył do pobliskiego źródła i przyniósł mi świeżej wody. Po napiciu się przyszedłem po chwili do siebie i zwlókłszy się z ziemi udałem się do chaty, gdzie rzuciłem się na słomianą pryczę i zasnąłem. Po trzech godzinach odpoczynku zerwałem się i wraz z towarzyszami — nie powiem — zjedliśmy, ale raczej połknęliśmy cztery misy gotowanych ziemniaków. Nie pamiętam, czy miałem kiedy taki apetyt, jak onego dnia.

Po tym spoczynku i posiłku, zgotowanym przez Opatrzność odżyliśmy i poczuliśmy się na siłach, to też bez zwłoki ruszyliśmy w dalszą drogę, spieszno bowiem nam było dotrzeć do najbliższego miasta. Za łaską Bożą stanęliśmy pod wieczór we Fiun-ian-shen. Jest to stolica podprefektury tejże nazwy, sławna z handlu skórami i solą. Zagościłem u ks. Hu, rodowitego Chińczyka — misjonarza, który mnie przyjął z otwartemi ramionami. I z tego miasta zabrano załogę wojskową, a została tylko milicja obywatelska, Min-k'nan, ale zapewne i ta w razie niebezpieczeństwa pozostawiłaby miasto na łup rozbójników. Nie było więc dla nas nic lepszego do wyboru, jak uchodzić stąd i to jaknajprędzej, aby nas nie spotkało to samo, co w K'wej-szian-zu, albo jeszcze co gorszego. To też już w niedzielę (3 czerwca) wczesnym rankiem, pożegnawszy misjonarza i miejscowych chrześcijan, puściłem się w drogę do Kaei-shen. Mając już za sobą 20 mil drogi, natknęliśmy na małą stację misyjną, gdzie zaproszono mię na obiad — oczywiście bardzo pożądany. Obecni otoczyli mnie kołem i nie mogli się dość nadziwować, zwłaszcza gdy się dowiedzieli, że jestem misjonarzem ze Shensi i że z tylu niebezpieczeństw wyszedłem cało. Następnie prosili mię i nalegali, abym parę dni u nich pozostał, ponieważ główna droga do Kaeishen jest pod kontrolą band zbójeckich i bez wygórowanego okupu nie można się nią przedostać. Lecz uparłem się i zasięgnąwszy języka u chrześcijan postanowiłem puścić się boczną drogą, wprawdzie nie tak wygodną, ale zato bezpieczniejszą. Jak góry pomiędzy Czen-piu-shen a Ta-nin-shen, jak już wspomniałem, są bardzo strome i trudne do przebycia, tak i góry ciagnące się w stronę Kaei-shen

w niczem tamtym nie ustępują. Nie mam zamiaru opisywać tu trudów tej podróży, dodam tylko, że całą drogę szedłem pieszo, bo niepodobieństwem było jechać wierzchem.

Nareszcie 6 czerwca stanąłem w Kaei-shen, gdzie mię gościnnie przyjęto u sędziwego staruszka, ks. T'chan (umarł zeszłego roku), z którym mieszkał jeden kleryk. Jest bowiem w prowincji Setznan zwyczaj, a względnie prawo, że każdy kleryk po ukończeniu seminarjum musi się zaprawiać do pracy misyjnej i służby ołtarza pod okiem doświadczonego misjonarza, póki wikarjusz generalny nie wezwie go do przyjęcia święceń kapłańskich. Prawo to, jak z jednej strony zasługuje na pochwałę, tak z drugiej nie jest praktyczne, zwłaszcza tam, gdzie się daje odczuwać brak misjonarzy. Ale taka prowincja, jak wikarjat Czun-cin, w którego obrębie leży Kaei-shen, może sobie na to pozwolić, bo na 50 tysięcy katolików jest tu 70 księży krajowych a 30 europejskich, nadto 150 seminarzystów z trzech seminarjów większych, nie licząc kandydatów do stanu kapłańskiego w innych kolegjach. *C. d. n.* *(Kronika Seraf.)*

Niezwykła przygoda Misjonarza

Peruka i zęby sztuczne uratowały go od śmierci.

W jednej ze stacyj misyjnych, ukrytej w dżungli afrykańskiej zdarzył się wypadek, który rzuca ciekawe światło na warunki pracy misyjnej. W wywiadzie, udzielonym dziennikarzowi włoskiemu, stary misjonarz belgijski, w następujących słowach opowiedział owe zdarzenie:

— Środkowa i południowa Afryka, pomimo inwazji pionierów europejskich, pozostała nadal tajemniczą krainą wszelkich możliwości. Dusza murzyńska jest zawiłym rebusem, krzyżówką, którą rozwiązać potrafi tylko ten, kto życie całe spędził wśród czarnych. Nie sądźcie jednak, aby każda przygoda misjonarza, pracującego wśród murzynów, miała przebieg dramatyczny. Bynajmniej. Każdy z nas mógłby opisać tom „wesołych opowieści", na temat pracy misyjnej. Każda niemal nasza przygoda łączy w sobie pierwiastek tragiczny, z pierwiastkiem komicznym.

Przez szereg lat pracowałem pospołu z pewnym wybitnym zakonnikiem, Belgijczykiem, który jednakże został odwołany do centrali gdyż klimat afrykański nadszarpał mu zdrowie. Zżarty febrą i szkorbutem przyjaciel mój stracił wszystkie zęby i włosy — wyglądał jak starzec, pomimo że liczył sobie dopiero lat czterdzieści.

Po powrocie do Paryża zakonnik wykurował się, ale duszę jego dręczyła nostalgja za jego ukochaną placówką misyjną, tam

w dalekiej puszczy afrykańskiej. Uprosił więc swoich przełożonych, aby mu pozwolili wrócić do Afryki. Przed wyjazdem zaprzyjaźniony z nim dentysta założył mu nowiutką szczękę. Dobry padre zaopatrzył się też w perukę, gdyż nie chciał wyglądać zbyt groteskowo z gładką jak kula bilardowa, czaszką.

Pewnego razu podczas objazdu misyjnych stacyj, misjonarz dotarł w towarzystwie swego przyjaciela do osady, ukrytej w głębi puszczy, a zamieszkałej przez szczep wojowniczych pigmejów ludożerców.

W chwili, gdy obydwaj wędrowcy zbliżali się do polany, będącej czemś w rodzaju rzymskiego forum, na którem odbywają się narady wojenne, wspólne uczty i zabawy — ujrzeli oni wielkie ognisko, wokoło którego tłoczyła się gromada czarnych dzikusów. Stary wojownik, którego garderoba składała się z naszyjnika z zębów ludzkich, trzymał za włosy wrzeszczącego chłopca i wywijał nad nim ostrym nożem. Misjonarze zdrętwieli. Wszak za chwilę miała się tu rozegrać okropna scena egzekucji i przygotowywania ludzkiej pieczeni. Nie wahając się ani chwili, rzucili się na pomoc dziecku. Misjonarz, który ongiś był żołnierzem, wystrzelił z myśliwskiej fuzji dla postrachu, poczem wyrwał ogłuszonemu katowi ofiarę.

Gromada karłów cofnęła się przezornie na kilka kroków wstecz, ale zaraz rozległ się bojowy okrzyk i z szeregu wystąpił sędziwy wódz, zbrojny w zatrutą dzidę. Jeszcze chwila, a dzikusy rzucą się na misjonarzy.

Wtedy myśl genjalna zaświtała w mózgu dowcipnego padre. Oddał dzieciaka swemu towarzyszowi, sam zaś gwałtownym ruchem zerwał z głowy kędzierzawą perukę, a z ust wyjął górną i dolną szczękę, poczem wyszczerzając bezzębną jamę ustną i tocząc groźnie oczami jął zbliżać się do pigmejów.

W szeregach dzikich wojowników zapanował popłoch. Jedni uciekali na złamanie karku wgłąb lasu, inni padali na ziemię, bijąc pokłony i wznosząc okrzyki na cześć tajemniczego bóstwa, które ma władzę nad zębami i włosami.

— Oszczędź nas — krzyczeli chórem, w narzeczu, znanem drugiemu misjonarzowi — odwróć swój gniew od nas, o wielki. Nie pozbawiaj nas zębów i włosów. Czemże gryźć będziemy. Któraż niewiasta zechce patrzeć na nas...

Zacny misjonarz mógł spokojnie odejść z cennym łupem i ukryć go w pobliskiej, nowozałożonej stacji, pod opieką zakonników.

Wiarus Polski.

Co powinien każdy wiedzieć o misjach?

W ostatnich latach mówi się coraz więcej o misjach, a sprawami misyjnemi interesują się szerokie koła społeczeństwa. Z tego też powodu będzie dla wielu czytelników, a także dla sprawy samej korzystne, gdy się przedłoży zasadnicze zagadnienia, dotyczące misyj.

Misja jest dziełem wysyłania zwiastunów wiary na świat cały, jak to Zbawiciel powiedział: „Ja was posyłam", stąd pochodzi nazwa misja od wyrazu łacińskiego „mittere — miso — wysyłać — posłannictwo", a stosownie do tego dał Chrystus przed swem Wniebowstąpieniem apostołom testamentarne zarządzenie: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je". Misja zatem jest rozszerzeniem panowania Bożego, względnie Królestwa Chrystusowego wśród wszystkich narodów świata całego, stąd jest ona dalszym ciągiem zadania, jakie Chrystus powziął na tej ziemi, a dalsze przeprowadzenie tego zadania przekazał nam ludziom.

Różnorodne i daleko idące są zatem obowiązki i prace, wykonywane przez zwiastunów wiary św., czyli przez misjonarzy. Najprzedniejszą sprawą misyjną jest sprawa zbawienia dusz nieśmiertelnych, znajdujących się w jakiejkolwiek bądź barwy ciałach, bo za wszystkich Chrystus umarł: a tak ocenia także i misjonarz każdą duszę. Dalej zaś przynosi misja ludziom światło nieba, którym jest Chrystus Pan. Ale misja roznieca też światło przyrodzone przez nauki, szkoły, prasę itd., a w ten sposób zaszczepia światło kultury i cywilizacji chrześcijańskiej, n. p. przez użyźnianie ziemi, przez budowę dróg, wsi, osuszanie bagien, przyuczanie do pracy, walkę przeciw niewolnictwu i przez wiele innych środków. W Europie, gdzie kultura i cywilizacja chrześcijańska przenikła wszelkie społeczeństwa, państwa i nawet prawodawstwo nie myśli się o tem, że to zasługa Kościoła katolickiego t dlatego nie docenia się pracy ogromnej, którą i również dzisiaj dokonywa się przez misjonarzy.

Misja jest też przedewszystkiem dziełem miłości bo wprowadza sakrament miłości, szerzy też miłość litującą się czyli miłosierdzie wśród biednych, chorych, nieszczęśliwych. Zarazem staje się dzieło misyjne dziełem ofiary, składanej przez siły misjonarskie, ich pracą, cierpieniem, znoszeniem prześladowań, które się nieraz kończą śmiercią męczeńską.

W czasach wygodnych podróży wydaje się, że misjonarze również nie napotykają na zbytnie trudności, Coprawda do niektórych środowisk misyjnych można dość prędko i względnie wygodnie dotrzeć, o ile się ma ku temu środki odpowiednie, lecz po naj-

większej części tak bywa, że chociaż dojazd jest aż do pewnej granicy możliwy, następują potem trudności wprost niebywałe.

Zbawiciel sam na te trudności wskazał temi słowy; „Idźcie... nauczajcie... wszystkie narody!... A więc „Idźcie“ na zdobycie świata całego, olbrzymiego przez morza burzliwe, rzeki rwące, piaski pustynne, lody i śniegi wieczyste. Nic nie wstrzyma misjonarza, który dociera do miejsc najdzikszych bądź pieszo, bądź konno, bądź na wozie zaprzężonym w woły, bądź łódką niebezpieczną, albo i taczką prymitywną: posługuje się też parowczykiem, motorem, koleją żelazną, automobilem a nawet aeroplanem, byleby stawiono mu takie środki komunikacyjne do dyspozycji. Krzyż misjonarza toruje wszystkie drogi choćby najtrudniejsze do ludów całej ziemi.

Gdzie nieznane dotąd rzeki rwące, albo góry niebotyczne stawają się zwiastunowi wiary drogowskazem do szukania dusz nieśmiertelnych, tam notuje on pilnie te nowe kształty i źródła wód ziemi, a także zdobycze fauny i flory: w taki sposób dodaje on niejedną cegiełkę do coraz nowszych odkryć naukowych, co jako dawne i nowsze zapiski misjonarskie można było podziwiać na wielkiej wystawie misyjnej, jaką świat cały w 1925 roku mógł oglądać w ogrodach watykańskich.

Trudy, na jakie zwiastun wiary podczas swych wysiłków misyjnych napotyka, połączone są dalej dalszym rozkazem Chrystusa; „Nauczajcie wszystkie narody!” Jest to zadanie — zdawałoby się — przewyższające siły człowieka, gdy się pomyśli, że na świecie znajdują się ludzie różnej barwy, rozmaitych języków (na świecie liczy się 1000 do 1500 języków i narzeczy, a w samej Afryce spotyka się przeszło 70 rozmaitych języków; sodalicja św. Piotra Klawera drukuje katechizmy i książki szkolne w licznych narzeczach afrykańskich), usposobień i obyczajów. Kościół otwiera wszystkim swe zbawieniodajne podwoje.

Misjonarz tak często zbliża się do ludu, którego język lub narzecze są nieznane, którego mowa nie została ujęta alfabetem ani gramatyką. Wówczas należy wynaleźć pisownię, składnię itd., jakto czynił św. Cyryl dla Słowian i wielu innych, jak O. Hankiekiewicz T. J. dla jednego z narzeczy w Afryce (Rodezja). W taki sposób misjonarz otwiera po licznych trudach nabytym a nieraz przez siebie ukształtowanym językiem serca ludzi, których stara się pozyskać dla Boga, dalej zaś przysparza nauce nowych zdobyczy. Zresztą nikt jak on, pozostający bezustannie z tymi ludami, siedząc z nimi przy ich ognisku, dzieląc z nimi boleści i radości, nie ma możności wniknąć w ducha jego języka, poznać charakter wraz z dodatniemi i ujemnemi stronami.

A wszystkie te znojne prace spełnia zwiastun wiary na chwałę Bożą i dla dobra ludzkości.

Praca ta misyjna, kierowana z środowiska chrześcijaństwa, rozchodzi się ze stacyj misyjnych, których liczymy w Azji 47.149, w Afryce 15.717. w Północnej i Południowej Ameryce 1908 a w Oceanji 1623. Wielką zaś jest liczbą tych, na których z dotychczas istniejących stacyj misyjnych wypuszcza się strzały miłości, by ich nawrócić, pociągnąć do Chrystusa.

Wszystkich ludzi na świecie liczymy 1726 miljonów, a w tem 1043 miljonów pogan i Mahometan, którzy się tak dzielą:

270 miljonów wyznawców Konfucjusza w Chinach, 240 miljonów Mahometan (w Małej Azji i Afryce); 200 miljonów Hindusów (w Indjach Brytyjskich); 158 miljonów Animistów (pierwotne ludy wszystkich części świata); 138 miljonów Budystów (w Azji Południowej i Wschodniej); 24 miljony Szyntoistów (w Japonji) i 13 miljonów Żydów, rozrzuconych po całej kuli ziemskiej.

A jak to możliwie, że dzisiaj tylu mamy jeszcze niechrześcian, czyli pogan? Bóg może przecież od razu wszystkich natchnąć światłem swem. Tego jednak nie czyni, jak to się stało w dzień Zielonych Świątek, gdy Duch św. zstąpił tylko na Apostołów a po tem na 3000 ludzi a nie na wszystkich. Dlaczego to? Bo Chrystus chciał, aby Apostołowie oraz ich następcy opowiadali Ewangelję całemu światu. O tem obowiązku, mówi św. Paweł w liście do Koryntjan (9, 16): „Biada mnie, jeślibym Ewangelji nie opowiadał.

Ks. K. Bajerowicz.

Biada bezbożnym

Obejdzie się bez Boga! Precz z Bogiem! Tak krzyczą, wymachując przytem rękoma, nakształt rozpędzonych wiatraków, rozmaici niedowarzeńcy naukowi, czyto na placach publicznych, czyto na rynkach, czyto w salach odczytowych. My wiemy, jakie ci ludzie noszą miano.

O ile lepiej zrobiliby, gdyby się zabrali do jakiejś pożytecznej pracy. Bo zaprawdę biada tym, co wydzierają z duszy ten największy skarb, jakim jest Bóg! — Biada im, biada! Przekleństwo Chrystusowe ciąży na nich. — Biada światu dla zgorszenia: biada temu, przez którego one na świat przychodzą! Ci mędrkowie przychodzą pomiędzy ludzi w odzieniu owczem, lecz wewnątrz są wilkami; przeto są najgroźniejszymi wrogami, a przyjaciółmi się mianują.

Straszniejsi owi od szakala, albowiem duszę odzierają z wiary i podkopują w niej fundamenta wszelkiej moralności. „Boga usunąć

z uczelni, a wychować nowe pokolenie po pogańsku" — oto ich hasło, które sprowadza najopłakańsze stosunki. Jedynie bowiem religja utrzymać zdolna w karbach ludzkie namiętności. Wychowanie zaś bez Boga czyni człowieka gorszym i straszniejszym od rozszalałego zwierzęcia, — Człowiek, co nie chce znać Boga przykazań, a w sercu swem wypisał przeciwne prawu Bożemu — prawo szatana, jest najgorszym obywatelem, jest plagą państwa, jest trutniem społeczeństwa którego żadne straże nie ustrzegą, żadne kary od występku nie powstrzymają. W jego sercu brak uczuć ludzkich, a umysł wykoszlawiony szydzi z wszystkiego, co szlachetne, co piękne, i, nawet zbliżająca się groźna śmierć nie zmieni go!

Ludzie bezbożni opamiętajcie się! możecie przekręcić pojęcia dobra i zła, wykorzenić najszczytniejsze ideały, lecz Boga nie zniszczycie. Bóg odwieczny, który jednym aktem swej woli stworzył świat i jednym aktem w nicość obrócić może! Ten Bóg panować będzie zawsze. I przeminą długie wieki, przejdą panowania ludzkie na ziemi, świat ten w perzynę ognia i dymu się zamieni, a Bóg pozostanie w swej chwale i majestacie, niezmienny, taki, jakim był od wieków.

Patrzcie! Wielu to już wrogów Boga upadło, jedynie proch z ich szczątków świadczy, że kiedyś istnieli a Bóg pozostał; i z wami stanie się podobnie; znikniecie z powierzchni ziemi a Bóg zostanie. Ale co się stanie z duszami waszemi?!

O tem postanowi Pan Wszechświata — nieogarniony Bóg, któregośmy z pojęć ludzkich chcieli usunąć. *M. W.*

POWIEŚĆ.

Lilja św. Antoniego

wolny przekład z niemieckiego przez Józefę Janoszównę

2. Ciąg dalszy.

Przez oblicze konającego przebiegł szczęśliwy uśmiech, złożył ręce i powiedział: »A wy, dzieci, bądźcie dobre i słuchajcie Toni, która Wam będzie ojcem i matką — szczególnie Ty, Józiu, mój jedyny synu, bądź wierny Bogu i swemu rodzeństwu«.

Wtedy podniósł się Józio z klęczek, przyniósł krzesło, wszedł na nie i wziął lilję, która obok obrazu św. Antoniego w puharze tkwiła. Była łudząco podobna do naturalnej i tro-

skliwie chroniona od kurzu ; tylko na uroczystość św. Antoniego wydobywano ją z szafy.

«Co robisz, Józiu, z lilją? zostaw ten kwiat, on należy do świętego.» Józio nie zważając na uwagę Toni, zwrócił się do ojca »Patrz, ojcze!» mówił »oto pięć kwiatów na jednej łodyżce: małe i wielkie, trochę i całkiem rozwinięte. Tak nas pięcioro chcemy się razem trzymać i strzec troskliwie białej barwy, której znaczenie ks. katecheta już mi objaśnił. To obiecuję tobie, ojcze, Toni i św. Antoniemu a ta lilja ma nam zawsze o tem przypominać. Tonia może mi ją z wyrzutem pokazać jeżeli słowa nie dotrzymam.»

Umierający osunął się na poduszki. »Niech będzie Bóg pochwalony» wyszeptał — »Józiu moje, dziecko, dziękuję ci Święty Antoni, dopomóż mi! Boże! w ręce Twoje oddaję duszę moją i moje kochane, biedne dzieci.» Wtem wzeszło słońce ponad górami, a jego piewszy promień wpadł przez otwarte okno na ciche, śmiertelne łoże i na obraz św. Antoniego na ścianie. Coraz cichszy i powolniejszy był oddech umierającego ; usnął tak słodko i spokojnie, jak znużone dziecię, ażeby poranek uroczystości swego świętego Patrona obchodzić w lepszem święcie. Na dworze w starym krzaku bzu słowik nucił jeszcze swą piosenkę a w izdebce płynęły gorzkie łzy sieroce. Słońce, wznosząc się coraz wyżej, rzucało coraz jaśniejszą glorję na oblicze śpiącego snem wiecznym i na obraz św. Antoniego, który na zmarłego ojca i na opuszczone dzieci zdawał się miłośnie spoglądać.

II.

Mężnie i cicho.

Smutny obrzęd skończył się! Na cichym cmentarzu w Berchtesgaden, w pobliżu klasztoru Franciszkanów, złożono zacnego Antoniego Wernera na ostatni spoczynek, obok czarnego wzgórka, gdzie spała jego żona.

Wieczorem, owego dnia pogrzebu wracała Tonia do swej, teraz tak pustej chatki, otoczona rodzeństwem, z któ-

rego zaledwo dwoje starszych miało pojęcie nieodżałowanej swej straty. Wprawdzie wszystkie dzieci gorzko płakały, gdy w domu zamykano trumnę, a na cmentarzu spuszczano ją do ciemnego grobu, ale łzy dzieci usychają prędko — radość i nadzieja, te niezrównane przywileje dziecięcego wieku, wkrótce znów biorą górę i już w drodze powrotnej szczebiotały malce między sobą niefrasobliwie.

Dwunastoletni Józio odczuwał już stratę ojca w całej pełni, będąc naturą uczuciową, zdradzając skłonność marzyciela. Ale w marzycielskiej duszy chłopca drzemała dobra i silna wola, która się nagle zbudziła nad trumną i grobem ojca. Nie poszedł ze swojem rodzeństwem do domu; powiedział Toni, że musi najprzód pójść do Ojca Przełożonego. Tonia spojrzała tylko smutnie na niego i pozwoliła mu pójść. Serce miała przepełnione: przywiązana najsilniejszą miłością do swego zacnego ojca, który od śmierci matki był dla niej wszystkiem na ziemi, musiała teraz znosić nietylko ciężki ból z powodu jego straty, ale gorszą jeszcze troskę o utrzymanie pięciorga osób, ona zaledwie 17-stoletnia dziewczyna.

Gdy weszła do izdebki, gdzie przed kilku godzinami stały zwłoki drogiego ojca, długo powstrzymywany żal owładnął nią w całej potędze. Przed pustem łóżkiem rzuciła się na kolana i wcisnąwszy twarz w poduszki, płakała jakby jej serce pęknąć miało. Widząc to małe rodzeństwo rozpłakało się także i głośno szlochając chwytano ją za szyję i za ubranie. Tonia uczuła, że z powodu dzieci nie może dłużej oddawać się swemu słusznemu żalowi; siłą woli zdusiła gorący płacz, otarła oczy, zwróciła błagalne spojrzenie na św. Antoniego i zaczęła łagodnemi słowy pocieszać małe siostrzyczki, które się wkrótce uspokoiły.

Tymczasem nadszedł Józio; nic nie mówiąc, klęknął na ławce przed oknem, podparł głowę rękami i spoglądał w przestrzeń. Tonia patrzyła na niego jakiś czas, potem spytała: »Józiu, co ci jest? co ci powiedział Ojciec Przełożony?«

Józio odwrócił się: «Toniu kochana, powiem ci to, słuchaj! dawno nosiłem się z myślą, abym mógł się uczyc i zostać księdzem. Po nocach śniłem o tem, a gdy dziś wrzucano grudki ziemi do grobu, zdało mi się, że widzę wyrastającą lilję, na którą przysiągłem, że będę zacny. A czyż mogę być zacniejszym, jak zostawszy księdzem?»

»Kochany bracie» odpowiedziała »nie stan uzacnia,! ale bojaźń Boża. Co ci jednak wpadło do głowy? chcesz zostać księdzem? byłoby to wybornie! skąd jednak wziąść na to fundusze? Nie wiesz nawet, czy wam codziennie dostarczę pożywienia!»

— »To mnie też właśnie zasmuciło«, odpowiedział Józio. »Ojciec Przełożony zdziwił się, usłyszawszy o mojem pragnieniu. Byłoby to całkiem dobrze, powiedział, Boski Zbawiciel wybierał z upodobaniem swych uczniów z pośród rybaków, ale wtedy nauka była krótka i bezpłatna. Teraz jednak trzeba długo w mieście na szkolnych ławach siedzieć, a mieszkanie tam, utrzymanie, książki, kosztują niemało. Gdym zaś powiedział, co na lilję przysiągłem, i że sam chciałbym być taką lilją w ręce św. Antoniego, poczem rozpłakałem sie rzewnie, odezwał się: Dobrze, Józiu! staraj się ciągle o białość lilji, to św. Antoni weźmie cię w swe ręce i doprowadzi do twojego powołania. Tymczasem będziemy się modlili i rozważali tę sprawę».

Tonia ucałowała brata i odeszła do kuchni, aby przygotować skromną wieczerzę. Gdy po wieczerzy stół sprzątnięto, zdjęła obraz św. Antoniego ze ściany (podczas długiej choroby ojca musiała mu go nad łóżkiem powiesić, aby w każdej chwili mógł spoglądać na swego Patrona) postanowiła go znowu na małym, domowym ołtarzyku, gdzie zawsze honorowe miejsce zajmował, poczem uklękła wraz z rodzeństwem, aby jak zawsze wieczorem odmówić wspólnie rożaniec. Po różańcu i litanji przeżegnała każde z dzieci w zastępstwie ojca wodą święconą i wkrótce małe zasnęły w swych łożeczkach słodkim snem niewinności. I Józio odszedł na spoczynek znużony i smutny.

C. d. n.

Wilno.

Wielką stratę poniosła ostatnio Kongregacja nasza z powodu śmierci ś. p. Br. Władysława, w zak. Franciszka Kołaszewskiego, profesora gimnazjalnego, który 6 września b. r. odszedł do Pana.

W szeregi III Zakonu wstąpił w roku 1926-ym, przynosząc ze sobą wielki hart i duże wyrobienie wewnętrzne. To też od samego początku życia z nami staje się wzorem tercjarza, który swój Zakon III rozumie i według jego przepisów ułożyć chce swe życie. Jako aspirant, a później nowicjusz nie ma nad siebie brata, któryby go wyprzedził w gorliwem i punktualnem uczęszczaniu na wykłady brata Mistrza. Jak wielką wartość przedstawiał, widzimy to szczególniej w r. 1928, kiedy zostaje zastępcą Brata Przełożonego, gdy w myśl swojej zasady: Regułę znać jak pacierz i zastosować ją w życiu — pogłębia wiedzę swą o III Zakonie i ją nabytą braciom mniej wykształconym doskonale uprzystępnia. Nie było miesięcznego zebrania, nie było zebrania Zarządu, nie było ogólnej katechizacji, w czasie której br. Franciszek byłby nieobecny. Wśród swoich zajęć profesorskich umiał zawsze znaleźć wolną godzinę, którąby mógł ofiarować całkowicie powołaniu tercjarza franciszkańskiego. Jego to dziełem jest druga środa miesiąca z dodatkowem zebraniem, na którem widzimy go wśród braci, jak wiedzę ich w sprawach Wiary św. pogłębia i rozszerza. Za jego radą wprowadzone zostało w czasie zebrań miesięcznych odmawianie Officium Parvum, Nieszporów i Komplety, a w czasie zebrań Zarządu odmawianie Jutrzni. Należał również jako gorliwy członek do Franciszkańskiej Krucjaty Misyjnej. Wszystko, cokolwiek tylko miało jakąś styczność z postacią św. Franciszka lub Zakonem Franciszkańskim, było dla niego drogiem i świętem. Słusznie w chwili jego zgonu powiedzieć to o nim było można: umarł człowiek o prawdziwie franciszkańsklej duszy... i takiego to straciliśmy.

Działalność br. Władysława-Franciszka Kołaszewskiego nie obejmuje tylko III Zakon, ale i gdzieindziej się uwydatnia. Po powrocie z Rosji w roku 1921-ym zrzesza wileńską inteligencję katolicką do wspólnej pracy ideowej, organizuje Męską Sodalicję Marjańską, której potem już stale jest kierownikiem. Pracy sodalicyjnej nie szczędził czasu, energji i zdrowia. Dzięki temu Sodalicja wzrastała liczebnie i rozwijała działalność społeczno-katolicką. On to zapoczątkował przy Sodalicji Sekcję Miłosierdzia, a potem był jedynm z organizatorów Wileńskiego Towarzystwa Męskiego św. Wincentego a Paulo. Zorganizował również Koło Eucharystyczne i stale niem kierował. Gdy powstały potem Towarzystwo Misyj Wewnętrznych, Liga Katolicka archidjecezjalna i parafjalne, Arcybractwo

św. Cyryla i Metodego, Koło Biblijne, „Dobra Książka“ i inne organizacje społeczno-religijne ś. p. brat Władysław-Franciszek brał w każdej żywy udział, wnosił swą wiedzę i umiejętność organizacyjną, wygłaszał odczyty i wspierał hojnie groszem. W ostatnich czasach był on najbliższym współpracownikiem „Christianina“, pisma dla unitów i prawosławnych. Dzięki jego wspaniałomyślności mógł się kształcić w roku ubiegłym w Kolegjum Misyjnem niezamożny aspirant do stanu duchownego. A wielu biednych zawdzięcza mu i wychowanie i pracę i dach nad głową i środki do życia!

Nieustanna gorliwość apostolska ś. p. br. Władysława Franciszka rozniecała w wielu sercach miłość ku Bogu i ludziom, budziła dobrą wolę, wnosiła wszędzie pomoc bratnią, harmonję i pokój. To też długo nasze Wilno pamiętać będzie jego czyny i zachowa wdzięczność.

Niech mu Bóg za to, czem był dla nas, wiekuistą nagrodą zapłaci.

(—) *Br. Józef Masewicz*
Sekretarz Kongregacji Męskiej
III Zakonu przy kościele
OO. Franciszkanów w Wilnie.

Recenzje.

Staraniem Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego ukazała się pięknie wydana broszurka o św. Tadeuszu z aprobatą Ordynarjatu Biskupiego w Przemyślu, p. t. Św. Juda Tadeusz Apostoł. Patron w rzeczach najtrudniejszych i beznadziejnych.

Nabożeństwo do św. Judy Tadeusza. Nakładem Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego w Krakowie ul. Garncarska 26.

Broszurka zaopatrzona odpowiednim wstępem, zawiera życiorys św. Tadeusza, wyjaśnienia dotyczące istoty nabożeństwa do św. Judy Tadeusza i nowennę do tego świętego.

Polskie wydanie jest tłómaczeniem z 51. niemieckiego wydania. Św. Juda Tadeusz odbiera cześć jako patron w rzeczach trudnych i beznadziejnych. Polskie wydanie w tłómaczeniu Ks. Stanisława Szpetnara ukazuje się właśnie jako wotum dziękczynne za otrzymanie pomocy w okolicznościach najtrudniejszych. — Broszura nadaje się do masowego rozszerzania. Do kapłanów zwracają się nieraz o pomoc i radę serca stroskane. Książeczka ta znaną była w niemieckiem wydaniu, przyniosła ulgę niejednemu zbolałemu sercu. Książka ta ma się przyczynić do rozszerzenia nabożeństwa do św. Judy Tadeusza na polskiej ziemi.

Zamówienia (cena 40 gr.). należy kierować pod adresem: Administracja Wydawnictw Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego w Krakowie ul. Garncarska 26.

Ukazała się świeżo nakładem Salezjańskiego Studentatu Teologicznego w Krakowie przetłumaczona z włoskiego książka p. t. „Piotr Jerzy Frassati". Autorem jej jest Dr. Antoni Cojazzi.

Dobrze, aby ją przeczytał każdy dorastający chłopak z inteligencji, jeszcze lepiej, aby ją przestudjowała każda inteligentna chrześcijańska matka. Dowiedziałaby się, jaki nietylko dawniej, ale i dziś w osławionych czasach powojennych może mieć wpływ na syna, ale pod warunkiem, że nie zostawi jego wychowania tylko szkole, kolegom i kółkom sportowym, ale sama ponad tem wszystkiem nad jego rozwojem czuwać będzie, a pierwsze zwłaszcza początki złego wyśledzi i z całą godnością matki przeciw nim wystąpi.

Dowie się podrastający chłopak i młodzieniec, czem w okresie pokus młodzieńczych są Sakramenta święte, jaką moc dają do walki z samym sobą, jak pomagają do urobienia prawdziwie katolickiego, zacnego charakteru. Przystępna cena dzieła (4 zł. 60 gr.) przyczyni się z pewnością do jego rozpowszechnienia. *A. Ch.*

OPŁACONO RYCZAŁTEM

ADRES ZWROTNY:
ADMINISTRACJA „POCHODNI SERAFICKIEJ"
O. O. Franciszkanie — Kraków.

KALENDARZYK NA LISTOPAD

z uwzględnieniem odpustów zupełnych 3-ch Zak. Franciszkańskich (Z. F.) i absolucji generalnej dla członków III. Zak. (A. G.)

1 S. **Uroczystość Wszystkich Świętych. A. G.**
2 **N. 21 po Zielonych Św.**
3 P. Dzień Zaduszny. Bł. Rajnerjusza w I. Z. Odp. T. qu.
4 W. S. Karola Boromeusza b.
5 S. Sw. Relikwij znajdujących się w Zak. franc.
6 C. Leonarda w.
7 P. Florencjusza.
8 S. S. 4 Koronatów.
9 **N. 22 po Sw.** Dedykacja Bazyliki N. Zbawcy.
10 P. S. Andrzeja z Awelinu w.
11 W. S. Marcina b. w. S. Menny męcz.
12 S. Bł. Jana od Pokoju w III. Zak. S. Marcina I. Pp. m.
13 C. S. Stanisława Kostki S. Dydaka w I Zak. Z. F.
14 P. S. Jozafata b. m.
15 S. S. Gertrudy p.
16 **N. 23 po Sw.** S. Agnieszki Assyskiej p. II. Zak.
17 P. Bł. Salomei p. II. Zak. S. Grzegorza b. w
18 W. Poświęcenie Bazylik Piotra i Pawła
19 S. S. Elżbiety wd. III. Z. A. G.
20 C. S. Feliksa Walerjusza w.
21 P. Ofiarowanie N. M. P. A. G.
22 S. S. Cecylji p. m.
23 **N. 24 po Sw.** S. Klemensa I Pp m.
24 P. S. Jana od Krzyża w. d. K. S. Chrysogona m.
25 W. S. Katarzyny p. m. Bł. Elżb. Dobrej p. III Z. A. G.
26 S. S. Leonarda z Portu Maurycego w I Zak. S. Sylwestra.
27 C. Bł. Mikołaja m. Z. Seraf. Bł. Rajmunda
28 P. S. Jakóba Pic. w. I Z.
29 S. Wszystkich Swiętych Zakonu Serafickiego Z. F.
30 **N. 1 Adwentu.** S. Andrzeja Ap.

Za pozwoleniem Władzy Zakonnej i Diecezjalnej.

Redaktor O. Czesław Kellar franciszkanin.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.